



PODRÓŻE PSYCHOLOGICZNE

PRZEZ KULTURY ŚWIATA

PAWEŁ BOSKI

JOANNA RÓŻYCKA-TRAN

PIOTR SOROKOWSKI





PROF. DR HAB. PAWEŁ BOSKI

Założyciel psychologii międzykulturowej w Polsce: w latach 1990–2013 w Instytucie Psychologii PAN; od 1996 r. w Uniwersytecie SWPS w Warszawie. Wcześniej 7 lat pracy akademickiej w Nigerii (w kulturze której umieszczone są jego podróże psychologiczne) oraz 8 w Kanadzie i Stanach Zjednoczonych. Autor podręcznika akademickiego *Kulturowe ramy zachowań społecznych* (PWN, wyd. 2009 i 2022) oraz licznych prac polsko- i anglojęzycznych z zakresu akulturacji, tożsamości kulturowej, wartości i stosunków międzykulturowych.



PROF. UG, DR HAB. JOANNA RÓŻYCKA-TRAN

(Instytut Psychologii Uniwersytetu Gdańskiego), wielokrotna stypendystka MNiSW, laureatka licznych nagród naukowych i grantów międzynarodowych, liderka partnerstwa strategicznego z Wietnamem. Mimo licznych funkcji na uczelni pracę naukową łączy z pasją podróżowania. Odbiła wiele wypraw w rejonie Himalajów, wspinając się na szczyty gór i wulkanów. Publikuje w prestiżowych czasopismach o tematyce społecznej i międzykulturowej.



PROF. UWR, DR HAB. PIOTR SOROKOWSKI

(Instytut Psychologii Uniwersytetu Wrocławskiego), stypendysta w programach FNP, MNiSW i National Geographic. Laureat licznych nagród naukowych (m.in. KP PAN, PSPS). Jeden z nielicznych w świecie psychologów specjalizujących się w badaniach nad społecznościami tradycyjnymi, które prowadzi od 20 lat w Amazonii, Afryce, Nowej Gwinei i na wyspach Pacyfiku. Wedle rankingu Ioannidis/Stanford należy do 2% najczęściej cytowanych badaczy w dziedzinie psychologii, a jego prace wzbudzają zainteresowanie międzynarodowych mediów (m.in. BBC, CNN, New York Times).

**Sorus**

PRZEJDŹ
do księgarni online:
www.sorus.pl

PODRÓŻE PSYCHOLOGICZNE PRZEZ KULTURY ŚWIATA

PAWEŁ BOSKI
JOANNA RÓŻYCKA-TRAN
PIOTR SOROKOWSKI

WYDANIE II


Sorus

Redaktor prowadzący
Wojciech Nowakowski

Redakcja
Piotr Szmajda, Magdalena Adamska

Korekta
Magdalena Adamska, Wojciech Nowakowski, Vanessa Włodarczyk

Projekt okładki
Marcin Dolata

Projekt typograficzny i skład I wydania
Marcin Dolata

Skład suplementu do II wydania
Maciej Torz

Copyright © by Paweł Boski, Joanna Różycka-Tran, Piotr Sorokowski 2015–2024

Copyright © by Sorus 2015–2024

Copyright © for the cover photo by Rod Waddington / CC BY 2015–2024

Copyright © for the cover photo by Manu Mohan / CC0 2015–2024

Copyright © for the cover photo by Padmanaba01 / CC BY 2015–2024

Wydanie II, Poznań 2024

ISBN 978-83-68095-39-5 książka

ISBN 978-83-68095-40-1 e-book

Wydaj z nami swoją książkę!

www.sorus.pl/dlaautorow

Wydawnictwo Sorus

Księgarnia internetowa: www.sorus.pl

Przygotowanie, druk i dystrybucja

DM Sorus sp. z o.o.

ul. Bóżnicza 15/6, 61-751 Poznań

tel. +48 61 653 01 43

sorus@sorus.pl

Printed in Poland

WPROWADZENIE

Podróże psychologiczne przez kultury świata... Ależ tytuł wymyśliliśmy!

Albo „Ależ tytuł wymyślili ci autorzy!” – zastanowi się potencjalny czytelnik, rozważając, czy warto zajrzeć między okładki naszej książki. Zatem trzeba się z tego tytułu wytłumaczyć. I o tym będzie to wprowadzenie.

Właściwie każda podróż jest psychologiczna, już od momentu jej planowania. Podróż zawsze oznacza wyrwanie się z codziennej rutyny (przemieszczania się między domem a pracą nie nazwiemy podróżowaniem), podekscytowanie nowością, oczekiwanie, że przydarzy się nam COŚ niezwykłego, co będziemy pamiętać i o czym będziemy opowiadać innym – wiele, wiele razy. Człowiekowi potrzebna jest zarówno stabilność egzystencji, jak i zmiana, którą sam sobie wybiera i dozuje. Potrzebny jest zarówno dom, do którego wracamy, otwierając go własnym kluczem, jak i ho(s)tel/zajazd/schronisko/szałas/namiot, w których zatrzymujemy się jako goście między kolejnymi etapami podróży.

Ba, to dotyczy nie tylko ludzi; zwierzęta również przejawiają potrzebę eksploracji terenu i takie poznawanie nowych obszarów jest dla nich nagradzające. Ale też są między nami – ludźmi – różnice indywidualne. Niektórzy są urodzonymi podróżnikami, nosi ich po świecie, podejmują się wyzwania, docierając tam, gdzie ludzka noga jeszcze nie stanęła; inni mają w tym zakresie znacznie mniejsze zapotrzebowanie. Każdy z naszej trójki autorskiej ma wielką potrzebę stymulacji, głód podróżniczych wyjazdów i przygód. Dłuższy okres bez zagranicznych wojaży odczuwamy jako przykry stan deprivacji.

Wreszcie, podróżowanie nie jest równo rozłożone między różnymi grupami etnicznymi. W czasach już nowożytnych, gdy na Ziemi istniało wiele bia-

łych plam (z naszego punktu widzenia), to Portugalczycy, a dalej Hiszpanie, Holendrzy i Brytyjczycy wiodli prym w odkrywaniu Nowych Łądów. Wszyscy oni byli od wieków związani z morzem i podrózkami morskimi. Motywacje do odbywania podróży są powszechne wśród ludzi, choć nie wszystkich jednostek oraz zbiorowości dotyczą w równym stopniu; nasi koledzy psychologowie odkryli ich mechanizmy, nazywając je kilkoma bliskoźnacznymi terminami: „potrzeba stymulacji”, „potrzeba poszukiwania wrażeń, eksploracji, nowości”.

Skoro jednak każda podróż ma psychologiczne podłoże w postaci powyższych potrzeb, to dlaczego te nasze mają być nazwane „psychologicznymi”, czy nie jest to błąd tautologii? Nie jest, jeśli przez „psychologiczne” będziemy rozumieć „oczami psychologów”. Równie dobrze można by mówić i pisać o podróżach „przyrodniczych”, „medycznych”, archeologicznych”, itp.

Tak, my autorzy-podróżnicy jesteśmy psychologami i opowiadamy o własnych doświadczeniach, tudzież dzielimy się refleksjami o innych, napotkanych ludziach, językiem psychologii. Nie jest to suchy język artykułów naukowych, gdyż jest to książka pisana przez ludzi ciekawych świata dla ludzi ciekawych świata, niemniej jednak punkt widzenia i przyjęta perspektywa są charakterystyczne dla psychologów: jest to refleksja nad spotkaniem z nowością – zarówno z punktu widzenia podróżującego przybysza, jak i napotkanych gospodarzy odwiedzanych kultur.

Właśnie... czas przejść do objaśnienia ostatniego członu tytułu: „przez kultury świata”. Wielu odkrywców, od których datujemy historię nowożytną, wyruszało do Indii i docierało tam lub do Ameryki bez potrzeby odkrywania nowych kultur, lecz w celu zdobywania nowych łądów dla swych królów, co często łączyło się z podporządkowaniem tubylców i narzucaniem im własnej, „prawdziwej” kultury. Taka była istota europejskiego kolonializmu na wszystkich pozostałych kontynentach. Historia kontaktów podróżniczo-odkrywczych Europejczyków z grupami indygenicznymi Afryki, obu Ameryk i Azji, od XV do XX wieku, to historia dominacji białego człowieka i narzucania swej kultury tym innym, charakteryzującym się silniejszą pigmentacją.

W XX wieku, gdy „wszystko zostało już odkryte” pojawił się nowy sposób zdobywania świata: sporty ekstremalne, takie jak himalaizm, opływanie świata jachtami (a nawet kajakami) w pojedynkę, bez zawijania do portów, rajdy po pustyniach, nurkowanie głębinowe, skoki spadochronowe z coraz większych wysokości (także z kosmosu), itp. We wszystkich tych przypadkach idzie o indywidualne sprawdzenie się i bicie rekordów (np. pierwsze wejście zimowe na K2). A więc potrzeba stymulacji w pełnej krasie. Oczywiście

ście w żadnym z tych przypadków mowy nie ma o podróżyach kulturowych, odbywają się one poza kulturą: człowiek konfrontuje swe siły i umiejętności w kontakcie z siłami natury. Jest to gra o sumie zerowej: czy my pokonamy Nanga Parbat, czy też góra pokona nas?

A więc może podróże kulturowe to tyle, co turystyka, jeden z nowych i najszybciej rozwijających się „przemysłów”? Przecież miliony ludzi udają się rok w rok do kultowych miejsc świata i zaświadczać swą tam obecność miliardami fotografii, które natychmiast rozsyłają na Facebooka oraz umieszczają na YouTube, jakby wołając: „Hej, ja tu byłem/ my tu byliśmy, w tym sławnym miejscu!”. To właśnie nazywamy pławieniem się w odbitej sławie.

Oczywiście, nasze podróże kulturowe, którymi dzielimy się z czytelnikami są innego typu. Choć jedno dobre zdjęcie jest warte tysiąca słów, książka ta nie jest albumem fotograficznym z „egzotycznych krajów”. Słowa wyraźnie w niej przeważają. Słowa wymagają więcej wysiłku od autora i głębszej refleksji czytelnika niż pstrykanie i oglądanie zdjęć. Nasze podróże związane są z pewnymi ważnymi artefaktami (miejscami, obiektami architektonicznymi), ale przede wszystkim dotyczą kontaktów ze spotykanymi ludźmi, których wygląd, zachowania są bardzo różne od naszego polskiego/europejskiego sposobu życia. W tym sensie, ta książka dostarcza egzotyki: jej celem głównym jest poszerzenie u czytelnika horyzontów rozumienia tego, co ludzkie. Od starożytności do czasów najnowszych humanistyczna myśl Terencjusza „Nic, co ludzkie, nie jest mi obce” odnoszona była do rzeczywistości europejskiej (bo inna nie była znana).

Żyjąc we współczesnej globalnej wiosce, mamy możliwość rozszerzenia tej pięknej myśli na ludzi, których związek z Europą jest/był nikły lub żaden. Podejmując podróże kulturowe, respektujemy odmienność i wyzbywamy się swego etnocentryzmu.

W naszych podróżyach kulturowych nie biliśmy rekordów „pierwszego wejścia na” lub „pierwszego kontaktu z”. Jednak dotarcie do Papuasów żyjących w niedostępnych obszarach górskich lasów tropikalnych Nowej Gwinei; do społeczności buddyjskich Tybetu; do królestwa Opobo w delcie Nigru, i wielu innych, wymaga dużej odwagi, determinacji oraz kompetencji kulturowych. Wyprawy takie mogą zakończyć się tragicznie ze względów zdrowotnych (choroby, zatrucia pokarmowe), a także związanych z ryzykiem transportowym i „czynnikiem ludzkim” (np. porwania).

Typy relacjonowanych doświadczeń są odmienne w podróżyach każdego z nas. Paweł Boski dzieli się doświadczeniem afrykańskim, głównie nigeryj-

skim, obejmującym ponad trzydzieści lat. Najważniejszy okres to siedmioletni pobyt w Nigerii, a dalej kontakty z Nigeryjczykami poza Afryką i powrót po ćwierćwieczu. Za Karen Blixen z *Pożegnania z Afryką* może powiedzieć: *I had my house in Africa...* Z tego domu wyjeżdżał w krótsze i dłuższe podróże i do niego wracał. Jego życie codzienne było jednak osiadłe: praca, dom i kontakty towarzyskie w obrębie jednego miasta – Jos (czyt. Dżos), w Plateau State. Czyż jednak taka „podróż” przez codzienność kulturową odmiennego świata nie jest bardziej wiarygodna niż migawkowe zapiski przesuwających się przed oczami, jednorazowo widzianych scen?

Joanna Różycka-Tran opisuje podróże przez egzotyczne i kulturowe przestrzenie Azji Wschodniej, odbyte w ciągu siedmiu lat (Indie, Nepal, Tybet, Wietnam). Zanurza czytelnika w azjatyckim kontekście kulturowym: opowiada o wojownikach zatrzymujących swoje serce, o kobiecie-medium przepowiadającej przyszłość, o zmarłych i jednocześnie wiecznie żywych mistrzach. Próbuje zrozumieć zaobserwowane zjawiska, co nie jest łatwe, ponieważ kultura, traktowana jako oprogramowanie mentalne, wymusza określone spostrzeganie otaczającego świata. Czy zachodni umysł poradzi sobie z takim wyzwaniem?

Piotr Sorokowski odbywa intensywne i stosunkowo krótkie czasowo podróże do izolowanych od cywilizacji zachodniej miejsc w Nowej Gwinei, Amazonii czy Afryce. Ten sposób prowadzenia badań sam określa jako *helicopter anthropology*. To krótkie, intensywne wizyty, które mają z góry zaplanowane i dobrze sprecyzowane cele badawcze. Jest to zupełnie inne podejście niż to, które uprawiali antropologowie pokroju Bronisława Malinowskiego: pojechać na izolowaną od świata białych wyspę, zaszyć się na kilka lat i dokonać całościowego opisu życia społeczności tubylców. Sorokowski dociera do miejsc, których w industrialnej rzeczywistości dawno już nie ma.

Serdecznie dziękujemy Wydawnictwu Sorus za niezwykle precyzyjną w przygotowaniu książki, a szczególnie redaktorowi dr. Piotrowi Szmajdzie za wnikliwą edycję tekstu i pomysłową oprawę całości. Dziękujemy również Marcinowi Dolacie za oryginalny projekt okładki i elegancką aranżację zdjęć.

Pracę redakcyjną nad II wydaniem wykonał przede wszystkim Wojciech Nowakowski. Serdecznie dziękujemy za inspiracje, solidność i cierpliwość w oczekiwaniu na produkty naszej pracy.

Autorzy

PAWEŁ BOSKI

POWRACAJĄCY SEN PODRÓŻE AFRYKAŃSKIE

*Mojej żonie, Annie Małgorzacie Chodynieckiej,
współtowarzyszce podróży przez życie,
która zgodziła się również uczestniczyć
w wyprawie opisanej w tej książce
i być jej bohaterką.*

**PODRÓŻE
PSYCHOLOGICZNE**
PRZEZ KULTURY ŚWIATA



Pijący wino palmowe (Palm wine drinker) – siedząc pod palmą raczy się trunkiem nalewanym z tykwy do czarki; na palmę wspina się zbieracz – producent fermentującego soku; obok sceny z życia wiejskiego: kobiety dźwigają na głowach towar, podążając na targowisko. [Malowane piórkami i tuszem na cienkim płótnie. Autor: malarz z Ibadanu, Nigeria 1980]

PODRÓŻE WE ŚNIE, CZYLI NIE POTRAFIĘ WYJECHAĆ Z AFRYKI

Powracający sen to fascynujące zjawisko, opisane po raz pierwszy przez Freuda w roku 1900 w jego *Objaśnianiu marzeń sennych*. Jak sama nazwa wskazuje, śniącemu pojawia się wielokrotnie ta sama narracja w postaci głównego wątku, przy nieco zmieniających się detalach; upływ czasu nic tu nie zmienia. Rdzeń pozostaje ten sam: jest nim psychologiczny problem, z którym człowiek zmagają się usilnie i bezskutecznie jak Syzyf.

Mamy więc do czynienia z jakimś ważnym elementem naszego przeszłego życia, na którym doszło do pewnej fiksacji. Z pomocą terapeuty możemy „przezwyciężyć” problem występujący w tym śnie. Mara wówczas zniknie, a życie i sny będą przysparzać mniej cierpienia. Czy mój powracający sen należy do tej psychopatologicznej kategorii? Chciałbym wierzyć, że nie; że raczej daje w nim o sobie znać nostalgia, ujawnia się chęć powrotu, tęsknota za czymś, co było dobre. Niech Czytelnik sam to osądzi.

Nie wiem, czy to rekord, ale sen mój towarzyszy mi (prześladuje mnie?) od trzydziestu lat, czyli od chwili, gdy opuściłem Jos po siedmiu latach pobytu.

A wygląda on tak:

Jest noc, za oknami ciemno. Opustoszały teraz dom wydaje się większy. Przemierzam pokoje, kuchnię, łazienki, skrytki – po raz kolejny, natrętny. Pospiesznie, nerwowo sprawdzam, czy czegoś tam nie zostawiłem; czy pozostałych drobiazgów, które stoją na widoku, nie da się gdzieś upchnąć. Co mam zrobić z tymi maskami, statuetkami, ornamentami, których nigdzie nie mogę pomieścić? Sam dom zdaje mi się już obcy, opuszczam gołe ściany, ale wszystko,

co do niego przez ten czas zwiozłem, jest mi bliskie; nie chcę tu nic zostawić. Do wylotu zostało niewiele czasu, a jeszcze tyle trzeba załatwić. Muszę pojechać po taksówkę, która zawiezie mnie do Kano, na lotnisko. To daleko, ponad trzysta kilometrów, taksówka może się zepsuć i spóźnić. Ale na razie nie mam jak po tę taksówkę się udać, bo swój samochód już sprzedałem. Może ktoś z kolegów mnie zawiezie? Ale teraz noc, śpią. No i czy wystarczy mi pieniędzy na przejazd do Kano? Czy uda mi się zabrać z tymi wszystkimi manelami i czy zdążę na lotnisko?

Pierwotnie zawsze byłem w tych przygotowaniach sam, co zwiększało napięcie towarzyszące całemu przedsięwzięciu. Ale z latami pojawiły się dzieci. Towarzyszy mi zwłaszcza jedno – najstarszy syn. Ma około dziesięciu lat, pomaga mi w przerzucaniu i selekcji pozostałych drobniaków, w tym ewentualnych banknotów na podróż na lotnisko. Żadne z moich dzieci nigdy w Afryce nie było, a dorośli synowie nie wybierają się tam, jednak powracający sen wsysa już drugie pokolenie. Podróż do Kano. Zatłoczony, rozkraczający się pod ciężarem bus. Dojeżdżamy na lotnisko. Moja wielka skrzynia z całym dobytkiem musi jeszcze przejść przez kontrolę celną. Czy przepuszczą te moje skarby, które przecież należą do Afryki?! Czy starczy mi pieniędzy na podziękowanie?

Wreszcie lot, transkontynentalny, różnie to się kończy: w Warszawie? w Londynie? gdzieś w Ameryce? Ale w końcu jest spokój. Udało się.

Życie świadome – bardziej jednak racjonalne – ma miejsce na jawie. Nie składa się ono z tak tajemniczych obrazów, ale też bywa ciekawe... Jest gorące lato 1987 roku w środku geograficznym Ameryki Północnej; miasto nazywa się Wichita, a stan – Kansas. Od opuszczenia Nigerii minęły trzy lata. Ale kontakt – przynajmniej badawczy – trwa. Tak było w trakcie syberyjskiej zimy 1984/85 w kanadyjskiej prowincji Manitoba; tak jest teraz w Stanach.

Pokazuję studentom swoje nagrane w Jos materiały wideo i proszę ich o interpretację oglądanych na taśmie postaci: moich dawnych studentów, odgrywających tradycyjne oraz zmutowane postaci Hausa oraz Ibo. Oczywiście obaj, Mohamed (Mohamed Nadada) oraz Emeka (Curtbert Chidi Emeagwara) są synami swego etnosu; gdy zaczną mówić po angielsku, słysząc w nich Hausa bądź Ibo – dokładnie tak jak u nas słysząc Ślązaka lub Lwowiaka. W Wichita postanowiłem kontynuować swe badania, ale z Nigeryjczykami, podobnymi mi imigrantami. Zależy mi na ustaleniu, jakie są ich

antycypacje odnośnie do postaci Hausa i Ibo z oddali, i jak się one zderzają z realiami nagranych postaci.

Znaleźć Nigeryjczyków w Wichita nie jest łatwo. Próbuję popytać, wertować książkę telefoniczną: jak będzie Kowalski – to Polak; jak Segun Adewole – to Nigeryjczyk (Joruba). No więc wydzwaniam. Przedstawiam się: *Good day, my name is Paweł Boski, I am a professor from WSU, may I speak to Mr Adewole, please...* Raz telefon odebrała kobieta, oczywiście Nigeryjka. Słyszę, jak prosi męża:

– *Segun, you come, telephone call for you.*

– *Who is that?* – odpowiada Segun.

– *I don't know* – ciągnie kobieta. – *One Nigerian man from University, him say.*

Tak więc zostałem wzięty, ze względu na mój akcent, za Nigeryjczyka, dano mi tożsamość, niejako poza moimi plecami. To zaskakujące, ale też przyjemne. Te siedem lat w Nigerii zrobiło jednak swoje.

Od tego zdarzenia minęły lata świetlne, ale w różnych sytuacjach codziennych „mówię Nigeryjczykiem”. Proszę zapytać moich domowników, ale też i studentów, to potwierdzą. *We Nigerians should know it better than other nations...* – głoszę na przykład. Albo inna wypowiedź wyjęta z ust Mohameda z wideo: *I don't know, how can I know, it is the elders who decide on such matters.* Cytuję tę frazę, gdy przyznaję się do niewiedzy i zrzucam z siebie odpowiedzialność za nią: „To nie jest moja sprawa, nie moje zmartwienie, od tego jest starszyzna rodzinna, aby znała odpowiedź i wiedziała, jak należy postąpić”. No cóż, psychologia kulturowa to mieszanie porządków semantycznych, gonitwa memów, trochę prowokacji; teatr na scenie życia.

Jaki stąd wywodzę wnioski? Ano chyba taki, że mam prawo pisać o Afryce, o kulturze afrykańskiej, a nie o doświadczeniach turystycznych na safari w Masai-Mara lub Tsavo West czy o wspinaczce na Kilimandjaro, które też „zaliczyłem”. Daję sobie prawo do spisania rozumnych obserwacji i do ich interpretacji, tak jakbym był przynajmniej jedną nogą wewnątrz tego domostwa. Ostatecznie to oni mnie nazwali Nigeryjczykiem.



Maska żeńska z Ibolandu – przedstawia złe duchy (evil spirits), których należy się obawiać, ale ich siły można zneutralizować przez dobre juju i zaklęcia

Maska męska z Ibolandu, tworząca parę z prezentowaną wyżej maską żeńską. Uderza jej krwistość – zwłaszcza wydatnych warg. Ta postać przedstawia również złe duchy [evil spirits = mmuo ojoo]. Wkładana jest na głowę tancerza personifikującego ducha; budzi respekt i przerażenie widzów (zwłaszcza dzieci i osób nie znających tajemnej wiedzy)



PODRÓŻE W XXI STULECIU

W listopadzie 1977 lecieliśmy do Afryki „otwarci na doświadczenia”, młodzi ludzie opuszczający PRL z wkrótce przerwanej dekady Gierka, głodni nowego, egzotycznego świata. W lipcu 2009 udawałem się w podróż do tej dawnej Nigerii, zastygłej w sentymentalnej pamięci i w powracających snach oraz do tej nowej, zmienionej przez obiektywne procesy toczące się bez mojej obecności i poza świadomością.

W lipcu 2009 leciałem do innej Nigerii: w podróż sentymentalną do świata, którego nie chciałem opuszczać w swych snach. Powrót do źródeł miał się rozpocząć w Abudży, której trzydzieści trzy lata wcześniej nawet na plan-szach kreslarskich nie było. Miał na nas oczekiwać Yakubu, Nigeryjczyk-Polak, z którym zaprzyjaźniliśmy się w Warszawie.

Na lotnisku w Abudży chcę każdemu oznajmić, że wracam do domu. Zwierzam się służbom mundurowym. Pogranicznicy przyjmują tę wylewność sympatycznie: *Sano da zuwa* – „Witajcie!”. Yakubu czeka, ze swoim szoferem i terenową nową hondą. Jedziemy do hotelu, który nam Yakubu zarezerwował z własnej inicjatywy. Mamy apartament dwupokojowy, odpowiedni dla europejskiego profesora albo biznesmana, mniej dla ludzi z plecakami. Światło gwarantowane: jeśli nie z dostaw NEPA (Nigerian Electrical Power Authority) to z własnego generatora; woda też powinna lecieć z kranu, choć niekoniecznie ciepła. Cena odzwierciedla standard: trzysta dolarów za noc. Yakubu zostawia nas i umawiamy się na jutro na niedzielną przejażdżkę po okolicy. Dziękujemy mu za gościnę, a to, że za drogo, zostawiamy już dla siebie. Jutro zmienimy pokój na tańszy.

Jeszcze tylko krótka przechadzka po okolicy; trzeba spróbować, jak po latach smakuje *suya*, czyli opiekany na różnie kawałek wołowiny mocno przyprawionej papryką z ulicznego grilla. Życie uliczne toczy się przy lampkach naftowych; to się nie zmieniło. Ale nie widzę Tuaregów – *hommes bleus* – którzy przed laty, siedząc przy ognisku na przyzbie, stanowili ochronę *guest house'u*, w którym przyszło nam spędzić pierwszą afrykańską noc. W apartamencie nie ma też moskitiery, która wówczas chroniła nas przed komarami.

Przedmieścia Abudży ciągnące się w kierunku Zuma Rock, „świętej skały” – symbolu stolicy, są rojowiskiem samochodów wszelkiej maści, z przewagą przepelnionych busów i poobijanych taksówek, motocykli oraz tłumów pieszych, tudzież ludzi próbujących zarabiać przy drodze, sprzedając, co się da. Tłok jest jeszcze większy niż kiedyś. Po objeździe wracamy do centrum. Tu z kolei, na szerokich stołecznych ulicach – pustawo. Jeszcze nie zapełniły się ulicznym handlem, a może władze go tępią?

Yakubu prowadzi sam, dał szoferowi wolne. Szkoda, gdyż jest nieco nieostrożny, łącząc czynności kierowcy i przewodnika. Na jednym z głównych skrzyżowań – nagle: buch! Czołowo-boczne zderzenie z samochodem nadjeżdżającym z prawej strony. Bardzo mocne uderzenie. Chwila szoku, ale żyjemy wszyscy, nikt nie odniósł ran. Tylko żona będzie miała przez tydzień *black eye*, jakby w wyniku przemocy domowej. Zbierają się gapie. Ktoś mówi, żeby czekać na травie na policję i na ambulans; ktoś ostrzega przed złodziejami.

Yakubu telefonuje do brata – komórki są teraz powszechne w Nigerii, nie to co przed laty, gdy nie było żadnych telefonów. Brat pracuje w policji i zajmie się sprawą, to znaczy takim jej poprowadzeniem, aby sprawcą wypadku uznany został kierowca drugiego samochodu.

Człowiek ważny to ten, kto nie tylko ma hondę 4WD z szoferem, ale także ten, którego bracia zajmują wysokie, wpływowe stanowiska w instytucjach, w których decydują się nasze losy. Na razie sprawy wyglądają dobrze, brat pojawia się na miejscu, jedziemy z nim do szpitala na testy kontrolne; to on bierze sprawy w swoje ręce.

Nazajutrz pojawiają się powypadkowe problemy. Honda mocno ucierpiała; płyta główna jest odkształcona, a to oznacza poważną naprawę i poważny wydatek. Czy samochód Yakubu miał ubezpieczenie? Nie wiem. Yakubu oczekuje jednak wsparcia finansowego: pięciuset dolarów. Zgadzam się dorzucić, ale po powrocie. Nie od ręki, bo to nieprzewidziany duży wydatek...

Ten casus doskonale pokazuje różnice kulturowe w oczekiwaniach wobec znajomych i przyjaciół. Jak by to było w Polsce? Czy twój znajomy, Czytel-

niku, oczekiwaliśmy od ciebie pieniędzy na pokrycie kosztów naprawy swego samochodu, który prowadził w momencie wypadku, wioząc cię jako swego gościa? Przyjmijmy, że samochód nie miał ubezpieczenia AC.

Ciekawy przypadek. Okazuje się, że według większości Polaków udział pasażera w takiej naprawie nie mieści się w standardach naszych oczekiwań. Ale w Afryce, zwłaszcza, gdy gość-pasażer jest Europejczykiem, to działa inaczej. Biały jest z definicji bogaty, więc powinien płacić. Wszelkie bliższe kontakty, poczynając od rodziny, która liczy zwykle około stu osób pozostających w relacjach osobistych, oznaczają zobowiązania finansowe. Bliskość osobista to bliskość problemów materialnych. Pięćset dolarów zostanie przekazanych Yakubu po naszym powrocie do Polski.

Rozbita honda okazała się źródłem problemów nie tylko dla Yakubu, ale i dla nas. Jednym z najważniejszych momentów sentymentalnej podróży miała być wizyta w moim mieście, Jos. Z Abudży to niedaleko – około stu pięćdziesięciu kilometrów – ale trzeba tam się dostać jakimś środkiem transportu. Koniec końców ustaliliśmy, że pojedziemy do Jos z kierowcą z firmy Yakubu, Isą, samochodem, który u nas nie przeszedłby testu kontroli, ale w Nigerii mieścił się w normie, bo jeździł. Jesteśmy w kraju, gdzie status odgrywa ogromną rolę i na pewno żaden miejscowy profesor nie wsiadłby to czegoś podobnego z lęku przed kompromitacją, a nie tylko przed możliwością wypadku czy rozkraczenia się na drodze. Ale myśmy wsiedli i pojechali. W isuzu nie działały amortyzatory, trząśł niemiłosiernie; nie zamykały się okna ani drzwi, więc ryzyko, że nie dojedziemy, było znaczne. Cóż to jednak znaczy wobec nieodpartego pragnienia powrotu do siebie...

Z Isą niełatwo się było dogadać. Drogę znał intuicyjnie, bo przemierzał ją wielokrotnie. Brak umiejętności czytania nie przeszkadzał mu w orientacji, choć czasami pytał, co jest napisane na jakiejś przydrożnej tablicy czy na znaku. Pod wieczór zbliżyliśmy się do miejsc, które z kolei ja rozpoznałem intuicyjnie: oto zaczyna się podjazd pod Plateau i odczuwamy natychmiastowe ochłodzenie.

Na rondzie w Bukuru byliśmy już dobrze po zapadnięciu zmierzchu. Noc rozświetlały tylko migocące, przy ciągle otwartych straganach, światełka lampek naftowych, świeczek i latarek. Jedyne taki widok w Afryce. I oto, na drodze prowadzącej prosto do Jos, pojawia się *roadblock*: przerzucony przez szosę bal drzewny, oświetlony kilkoma migocącymi lampkami, a na nim żołnierze – powiedzmy, że pilnujący porządku. Z wojskowymi *roadblocks*, czyli zaporami, spotkałem się już trzydzieści lat temu. Tego typu spotkania

z uzbrojonymi po zęby żołnierzami nigdy nie były przyjemne. Ale teraz się ich nie spodziewałem.

– Co się dzieje? – pytam Isę.

– *Roadblock, sir* – odpowiada kierowca – *curfew* w mieście.

Rzeczywiście, nie zrobiliśmy wystarczająco precyzyjnego rozpoznania i teraz mamy problem z godziną policyjną, która trwa od zmroku do świtu. W zasadzie nie mamy prawa się poruszać. Ale gdzie tu nocować? Siąpi, zimno i do domu daleko. Wysyłam Isę na negocjacje z dowódcą *roadblocka*. Dowiadujemy się, że przeszkod (podobnych do zapór, jakie u nas stosowali pierwsi Piastowie przeciw wojskom germańskim) jest do centrum miasta około dziesięciu. Ale przy następnej znajduje się wyższy oficer i on może sprawę załatwić kompleksowo. Isa wręcza więc dowódcy „przepustkowe” w wysokości 1000 naira (6 dolarów) i bal drzewny uchyla się, a my ruszamy przez otwarty przejazd. Po dwóch kilometrach zatrzymujemy się przed następną przeszkodą. Tym razem włączam się do rozmowy z oficerem.

– *Sir, I am an international professor. I am coming to visit University of Jos, where I worked years earlier. I must be tomorrow at the campus and I must take rest overnight at Hill Station Hotel.*

Oficer czujnie pyta o rezerwację, a ja potwierdzam, niezgodnie z prawdą, że taką posiadam. Oficer postępuje szlachetnie. Powiada, że będzie nas eskortował przez wszystkie kolejne zapory aż w okolice hotelu. Wystarczy jedna opłata „za przejezdne” w wysokości 6000N, czyli około 40 dolarów. Godzimy się bez targowania na tę szlachetną ofertę i ruszamy. Co za komfort, rozstępują się przed nami wszystkie bariery, mamy ochronę iście VIP-owską.

Miasto jest całkowicie zaciemnione i puste; miasto widmo. Nie moje.

Gdy podjeżdżamy pod górę, do Hill Station, jest blisko północ. Cisza i pustka wypełniają przestrzeń, która niegdyś rozbrzmiewała gwarem radujących się życiem ekspatów i Nigeryjczyków z lokalnej wyższej półki. Teraz gości nie ma. Nasze pojawienie się budzi recepcjonistkę oraz... jej konsternację. Kto by się tu spodziewał gości? Dostajemy klucz i żarówkę, która może przyda się na miejscu. Idziemy prowadzeni latarką. Oby do rana, może jutro będzie lepiej.

Rano istotnie jest lepiej, gdyż z tarasu Hill Station roztacza się panorama na drugą stronę kotliny miasta, Sherie Hills. To tak jakby z Gubałówki patrzeć na Giewont. Jest więc ładnie, choć trawniki mniej zielone niż w ubiegłym wieku, a na miejscu dawnego basenu, w którym *bature* (biali) zażywali



Przed śniadaniem na tarasie. Ranek, 30 lipca 2009

przez rok cały kąpiele, straszy pusty oczodół cembrowiny. To powraca w filmie pamięci i nakłada się na widziane teraz obrazy, tyle że wyłącznie moje, więc opowiadam pospiesznie i chaotycznie żonie, jak to było. Opowiadam swoje widzenia, halucynacje z minionych lat.

Byliśmy jedynymi gośćmi na noc i jesteśmy jedynymi na śniadaniu. Na szczęście można zamówić jaja sadzone z plantainami¹ i jakiś sok. Jemy na tarasie.

- Czas w drogę – mówię do Isy, który spędził noc na podłodze w recepcji.
- Dokąd?
- No jak to dokąd, na Uniwersytet, Bauchi Road Campus.

Przejeżdżamy obok nadpalonego budynku Nigeria Airways, to ślady niedawnych zamachów; zakręcamy przy nieistniejącym już supermarkecie Kingsway, gdzie Polacy, pospołu z innymi *bature* zaopatrywali się w mrozo-

1 Plantain(s) wyglądają jak duże banany. Ale w stanie surowym nie da się ich jeść, są wiórkowate i bez smaku. Natomiast gdy podsmaży się je na oleju palmowym i posypie zmielonymi migdałami lub orzeszkami ziemnymi, stają się delicją, słodkawą przystawką do każdego dania.

ną wołowinę z Argentyny lub Brazylii, w czasach gdy nad Wisłą rzucono do supersamów kości na kartki.

Ulica Ahmadu Bello Way, z przedzieloną jezdnią. Jakby tu więcej motocykli, większy ruch, natomiast mniej trędownatych. Rondo i skręt w Bauch Road. Tu zawsze kotłowało się życie ludzkie i zwierzęce: kozy wśród stert starych opon samochodowych, przechodnie i handlarze uliczni, klaksony taksówek. Teraz widać więcej kobiet w hidżabach. Islamizacja stała się wyraźna.

Wjeżdżamy na campus uniwersytecki, chcę dotknąć obrazów z pamięci tkwiących w tych budynkach, gdzie spędziłem pięć lat poprzedniego życia. Okazuje się jednak, że mamy strajk, zajęcia są odwołane i życie akademickie zamarło. Owszem, budynki stoją w swych dawnych miejscach, ale wyglądają na nieużywane. Prowadzę żonę do wyludnionego Departamentu Psychologii, nikogo tu nie ma. Trzeba ożywić te mury i korytarze.

– Tu było nasze laboratorium, tu stały tachistoskopy, których używałem w eksperymentach na rozpoznawanie słów, twarzy. Mierzylśmy czasy ekspozycji w milisekundach. Nikt podobnych rzeczy w Nigerii nie robił... A teraz chodźmy tutaj – mówię wzruszony – wejdźmy w ten korytarz, tu był mój gabinet, pokój numer dziewięćdziesiąt sześć. W półmroku ruszamy ponurym korytarzem, a nasze stopy zostawiają ślady butów na zakurzonej podłodze. Jakby niesprzątej od lat, a w każdym razie od ostatniego harmattanu². Drzwi są zakratowane, nieotwierane pewnie równie długo, jak korytarz był niesprzątany. Nic tu po mnie, płakać się chce. Nie tak miał wyglądać ten powrót.

Co się dzieje w trakcie strajku? Pracownicy uniwersytetu spędzają czas wolny, dyskutując nad strategiami walki z rządem; redagują petycje, ustosunkowują się do propozycji związku zawodowego i ministerstwa. Dowiaduję się, że to ma miejsce na terenie nowego kampusu.

– Jedziemy tam – mówię do Isy i ruszamy w kilkukilometrową drogę.

Jest środek pory deszczowej, w południe robi się jednak tyleż ciepło, co wilgotno i czuję, że się pocę. Garnitur i krawat lepią się do mnie – no ale trudno, trzeba pocierpieć, nie mogę wyglądać byle jak.

Blisko bramy nowego kampusu uniwersyteckiego w ulicznym tłumie wyczuwa się podniecenie, ludzie gestykują, rozmawiają podniesionymi głosami.

2 Harmattan to wiatr wiejący z Sahary w porze suchej, głównie między grudniem a marcem. Niesie dużo pyłu, a jego drobinki tworzą zamglenie i przedostają się przez wszelkie szczeliny, pokrywając wszystkie powierzchnie warstwą kurzu. Osoby z problemami oddechania mogą źle się czuć w trakcie harmattanu.

– *Isa, you better ask what it is about* – wydaję polecenie kierowcy.

– *Sa* – odpowiada *Isa*, bez konsultacji z uczestnikami zgromadzenia – tu w nocy była strzelanina, *Boko-Haram kill three people*.

– A co to takiego to *Boko Haram*? – pytam w dniu 30 lipca 2009 roku, nieświadom tego, że oto powstaje fundamentalistyczna organizacja terrorystyczna, o której w następnych latach będzie głośno za sprawą ofiar zamachów na kościoły, szkoły, targowiska, wszędzie tam, gdzie mogło zginąć wiele osób.

– *Boko-Haram, no good people, Sa. They come shoot, kill innocent people and run to the bush* – informuje mnie *Isa*.

Na nowym kampusie jest jeszcze bardziej sennie niż na starym. Wreszcie ktoś informuje nas, że wszyscy pracownicy zgromadzili się właśnie w sali posiedzeń na zebraniu ASUU³, związanym rzecz jasna ze strajkiem. U wejścia straż. Pytam, czy jest tam w środku ktoś z psychologii, no bo ja właśnie przyjechałem z Polski z wizytą do mej dawnej uczelni. Nie wiem, czy ktoś ze starych znajomych pracuje, czy ktoś wyjdzie.

Po chwili pojawia się dwóch gentlemenów, ubranych w codzienną wersję dżalabii. Jeden w sekundzie wydaje mi się znajomy i to on podchodzi z uśmiechem serdecznego pozdrowienia:

– *Prof, that's you?*

Już wiem, że to *Nduk K.*, mój student i *research assistant* z ostatnich lat w *Jos*. Nadal wysoki, postawny, tylko włosy już mu siwieją. Niepomny różnic kulturowych, obejmuję go w słowiańskim uścisku, zwanym misiem, niknąc w jego potężnych ramionach. W Afryce nieznanym jest uścisk „na misia”, ale po dwudziestu pięciu latach niewidzenia się, mam chyba prawo do tak spontanicznego powitania, nawet w Nigerii, nawet między mężczyznami. Mam łzy w oczach. Czuję to, i wiem, że posunąłem się za daleko, opanowuję się więc po dwóch, trzech minutach – tak mi się przynajmniej wydaje.

Opanowanie przyda się za chwilę na sali, gdzie czeka mnie nowa niespodzianka...

Nduk zaprasza na salę obrad. Wchodzimy, a on, zanim siądziemy, idzie coś szepnąć do przewodniczącego posiedzenia. Po chwili zamieszania w związku z pojawieniem się dwójki *bature*, przewodniczący ogłasza:

3 Academic Staff University Union, czyli Związek Zawodowy Akademickich Pracowników Uniwersyteckich. Byłem jego członkiem równoległe z członkostwem – zaocznym – w Solidarności uczelnianej.

– *Ladies and gentlemen, dear ASUU members...* mam przyjemność ogłosić, że na naszym walnym zebraniu pojawił się profesor *Bowski*, nasz kolega i członek ASUU w latach 1970-80. *Professor and madameowski*, you are very welcome! – Rozbrzmiewają oklaski, chyba wychodzące poza rytuał. – *Professorowski*, would you please address our assembly, sir?

O Boże, mam wygłosić przemówienie do strajkujących kolegów? I tak z głowy, bez kartki? Bez orientacji, o co tu chodzi? No tak, wiem, że to duży honor, wyróżnienie, z którego nie mogę się wykić... Czuję, jak robi mi się duszno, ale trzeba sobie jakoś radzić, tak jak przed laty, w krytycznych sytuacjach (o których dalej).

– Drodzy przyjaciele z dawnych lat i nowi koledzy, członkowie ASUU – zaczynam. – Dzień to dla mnie i chwila niezwykła, oto jestem wśród was po dwudziestu pięciu latach. Chwila to ważna i wzruszająca. Przed momentem byłem na starym kampusie, opuszczonym i zaniedbanym, tam gdzie niegdyś mieścił się mój wydział. Wiem, a przede wszystkim czuję, że o uniwersytety w Nigerii trzeba walczyć, aby były nadal centrami myśli, badań i edukacji. A tego bez pieniędzy nie da się zrobić... Wasz protest to ma na celu i jest słuszny. W Polsce mamy podobne problemy, władze lekceważą potrzeby uczelni wyższych.

No i znowu zaliczyłem oklaski, może mniej burzliwe niż pierwsze, ale zawsze...

A potem zgromadzeni zajęli się swoimi sprawami. Przysłuchiwałem się rozbudowanej retoryce: formalnym zwrotom rodem z parlamentu brytyjskiego lub sądu, ekspresji nadającej zwielokrotnioną wagę wypowiedzanym słowom, czasami popisom krasomówczym. Tak zawsze tu było, i tak jest. Za moich czasów strajki również były chlebem powszednim: co roku pracownicy lub studenci strajkowali przez kilka tygodni i zajęcia nie odbywały się.

Czekała mnie jeszcze jedna niespodzianka. Zamykając obrady, podczas których odrzucono dotychczasową ofertę rządową i wsparło dalsze trwanie w strajku, przewodniczący zwrócił się ponownie do mnie słowami:

– *And before I close this meeting, may I ask prof.owski to deliver a prayer?*

To zadanie jeszcze trudniejsze. Nigdy w życiu nie prowadziłem zbiorowej modlitwy o powodzenie ważnego dla grupy celu. Ale tu tym bardziej nie mogłem się wycofać, przecież to oznaczałoby utratę twarzy wobec ludzi, którzy mi zaufali, którzy już powstali, już skupiają się z zamkniętymi oczami. Postanowiłem, że będzie ekumenicznie, przecież na sali jest około dwustu osób, i na pewno są wśród nich zarówno chrześcijanie różnych wyznań, jak i muzułmanie.

– Boże jedyny wszelkich religii, poprzez które jesteśmy twoimi wyznawcami, zebraliśmy się tu ponownie po to, aby działać dla realizacji wspólnych celów w postaci polepszenia warunków naszej pracy uniwersyteckiej. Prosimy Cię, Boże, daj nam mądrość w wyborze najlepszej artykulacji celów i w mozolnym przekonywaniu władz rządowych co do ich słuszności. Wszak idzie nam jedynie o to, by rząd wywiązał się ze swych zobowiązań w zakresie zapewnienia godziwych warunków pracy i płacy nauczycieli akademickich. Daj nam wszystkim, Boże, a zwłaszcza naszym przywódcom, determinację w prowadzeniu pokojowych negocjacji z naszymi oponentami i spraw, aby uznali nasze postulaty za słuszne.

Nie ręczę, że literalnie przytaczam wszystkie wypowiedziane wówczas słowa, ale sens mojej wypowiedzi był dokładnie taki, koncyliacyjny.

– Amen – odpowiedzieli zebrani, co z ulgą uznałem za akceptację tego, co usłyszeli.

Wyszliśmy na światło dnia, a Nduk przedstawiał nas członkom Wydziału Psychologii. Skierowaliśmy się do pobliskiego budynku, gdzie mieścił się ów departament. Wnętrze, w którym też nie było światła, również nie pamiętało sprzątanania, choć wrażenie nie było aż tak dojmujące jak na starym kampusie. Oto sekretariat i gabinet szefa wydziału. Przez okna przebija się dzienne światło. Patrząc po półkach i ścianach.

– To chyba dawniejsze prace dyplomowe – zwracam się do Nduka, widząc znajome czarne okładki ze złotą tłoczonymi literami.

Okazuje się, że tak, rozpoznaję prace licencjackie (*BA honors*) moich dawnych studentów. Największym odkryciem są jednak wiszące na ścianie grupowe zdjęcia pracowników i studentów z dawnych lat. Pokrywa je kurz – w całkiem dosłownym, nie metaforycznym znaczeniu. Czyścimy szklane szybki i żona pstryka zdjęcie. Na tym załączonym jestem i ja, stoję wśród kolegów z Indii i Pakistanu oraz studentów pierwszego rocznika. Data nie kłamie: to rok akademicki 1978/79 [FOT.: wklejka, s. I – góra].

– Ależ młodzi byliśmy, prawda, Nduk?

Rozmawiamy o aktualnym stanie departamentu, o możliwości nawiązania ponownej współpracy, o wymianie studentów. Jest rok 2009, wiele się zmieniło w Polsce i w Nigerii; zanikła obecność Europejczyków nad Nigrem.

To wtedy powstała w mojej głowie myśl zaproszenia doktora Nduka do SWPS. Jej realizacja zajęła cztery lata. Ale wtedy, na miejscu więcej uwagi zabierało nam rozważanie innego rodzaju: „A może by przyjechać do Jos, potworzyć doświadczenie sprzed ćwierćwiecza?”. To jedna z tych pokus, które

utrudniają nam życie, ale mocno w nas tkwią, mimo iż już starożytni zawyrokowali, że nie wstępuje się dwa razy do tej samej rzeki.

Dom wraca w realu, choć wydaje się snem

Drugą noc w Jos spędzamy w *guesthouse* na terenie osiedla uniwersyteckiego Bauchi Rd. University Staff Quarters, gdzie mieszkałem przez sześć lat w moim domu, bungalowu, powracającym wciąż do mnie w moim śnie. Ale tym razem jest tuż, na wyciągnięcie ręki, a jednocześnie tak odległy. To tu zamieszkaliśmy z moją ówczesną żoną na przestrzeni ponad dwustu metrów kwadratowych: salon z werandą, dwie sypialnie, gabinet, *lady's room*, kuchnia, spiżarnia, garaż, wieża na zbiornik wody oraz... *boysquarters*, czyli czworaki dla służby. To wszystko zamiast trzydziestu metrów kwadratowych, jakie uniwersytet przydzielił mi na warszawskim Ursynowie. To nic, że dostawami energii elektrycznej rządziły kaprysy NEPA, to nic, że woda w kranach pojawiała się wtedy, gdy zapełniony został kontener na wieży. Towarzyszyło nam poczucie luksusu i przywileju; także w stosunku do warunków życia panujących w otaczającym nas środowisku Nigeryjczyków.

Moje poczucie sprawiedliwości (rodem z PRL-u?) buntowało się jednak przeciw rażącoym warunkom *boysquarters* stanowiących dodatek do każdego „pańskiego” bungalowu. Były to prymitywne baraki jednopokojowe z pomieszczeniem kuchennym i prysznicem z zimną wodą. Jednak, gdy tylko wprowadziliśmy się do *bungalow*, pojawiała się kolejka kandydatów gotowych zamieszkać tam z pocałowaniem ręki, w zamian za pomoc w pracach domowych (pranie, prasowanie, prace ogrodnicze); bywali wśród nich także studenci. I to mnie uspokoiło – skoro sami chcieli...?

Przez okres sześciu lat w *boysquarters* mieszkał Christopher Agida z rodziną; on, żona i kolejno pojawiające się dzieci: George, Joy i Wisdom. Ja mieszkałem w *bungalow* przez dwa lata z żoną, a potem sam. Czy było mi z tym głupio, czy jest mi teraz? Może, nic mnie nie kosztuje powiedzieć, że tak. Ale powiedzmy, że mieszkając sam, otworzyłbym dom dla pięcioosobowej rodziny Agida. Co by się wtedy stało? Wybuchłby skandal. Mógłbym być wyrzucony z pracy za bezprawny akt dysponowania uniwersytecką własnością; za wpuszczanie *junior staff* tam, gdzie nie mają prawa przebywać, czyli w obszar *senior staff*. Akt „socjalistycznej sprawiedliwości” spotkałby się ze zdecydowaną reakcją zarówno Nigeryjczyków, jak i ekspatów. Byłoby to rażącym naruszeniem porządku społecznego.



Christopher Agida z żoną i trójką ich dzieci (od lewej: Joy, George i Wisdom) oraz brat Christophera. W tle ich „komórka” przy *boysquarters*

No więc Christopher mieszkał obok, przychodził w sobotę wycierać zakurzoną podłogę, prać i prasować. Przy okazji prowadziliśmy długie filozoficzno-religioznawcze dyskusje. Christopher był świadkiem Jehowy, szykował się też do matury dla pracujących. Był mądrym, refleksyjnym i ambitnym człowiekiem. Życie nas umieściło na odległych szczeblach hierarchii, ale chyba obaj potrafiliśmy do siebie zbliżyć się jako ludzie. Poza różniącymi nas przy padłościami.

Od Christophera nauczyłem się kilku pojęć, których nadal używam, mówiąc sam do siebie. Wokół nas byli ludzie, których Christopher nazywał *wicked men*, czyli złe, niegodziwe typy, parające się czarną magią. Nie słyszałem, aby ktoś z Angloamerykanów używał tego terminu, ale Christopher wskazywał, kto i dlaczego zasługuje na to określenie. I ja używam tego anglo-nigeryjskiego terminu czasami w Polsce, świadom, że nikt mnie nie zrozumie.

Czasami dawałem Christopherowi leki antymalaryczne lub zbijające gorączkę, gdy skarżył się na *general body weakness*. Mnie też czasami dotyka syndrom GBW. O kobietach, które wyglądały seksownie i używały swych atrybutów w walce o sukces życiowy – Christopher powiadał, że mają *bottom*



Mój dom w Jos. Salon (living room) ze zbiorami masek i innych afrykańskich artefaktów; na szybie okna werandy batik z Ibadanu; przy oparciu kanapy figurka płodności – kobieta w ciąży (z Konga), kalabasze z ornamentami oraz pamiątki z Maroka, a na ścianach – maski

power; i to też kupiłem. Najwięcej rozmów prowadziliśmy jednak o *Big Man (Big Oga)*, prototypowym Nigeryjczyku i jego konkretnych inkarnacjach. Ale to materiał na późniejszą, osobną opowieść...

I oto stoję przed swoim domem numer dwa. Podobnie jak wczoraj przed zakratowanymi drzwiami swego gabinetu. Budynek jest brudny, zapyziały, zardzewiały. Nad oknami markizy z falującej blachy lub eternitu; weranda zabita dechami. W garażu sklepik. Tylko na podjeździe wyrosło ładne *flamboyant-tree*, samosiejka. Biegnę drózkami osiedla, przypominając sobie, kto gdzie mieszkał przed laty. Na ogół przychodzi mi to bez trudu. Były to mniej więcej w połowie domy polskie; zadbane, ukwiecone okalającymi ogrodami, z instalacjami wędzarni na tyłach.

Teraz jednak degradację, brak starań o estetykę obejścia widać wszędzie. Życie stąd jakby się wyniosło. Przywodzi to na myśl obrazy opuszczenia i rozpadu znane z reportaży o Czernobylu w latach po wybuchu i przymusowej ewakuacji ludności, albo z takiego Borneo Sulina po wyjeździe Armii Czerwonej. Takie są losy miasta, gdzie od kilkunastu lat wybuchają walki, ataki terrorystyczne, rozruchy etniczno-religijne, o których donoszą serwisy telewizyjne wtedy, gdy liczba ofiar przekracza pięćdziesiąt. Samo miasto ginie,

więdnie jak nieuprawiane pole przechodzące w stan ugoru. Wraz ze śmiercią ofiar terroru, stygnie życie tych, którzy jeszcze pozostali na powierzchni ziemi.

I jeszcze jedna obserwacja, może kontrowersyjna... Jos zostało utworzone przez *bature*. Brytyjscy geologowie odkryli tu bogate pokłady cyny i kolumbitu. W pierwszych latach XX wieku rozpoczęła się tu eksploatacja, powstały kopalnie odkrywkowe. Zapotrzebowanie na siłę roboczą z okolicznych wiosek stało się zaczynem procesów miastotwórczych, w 1913 r. Jos zostało połączone z południem (Lagos, Port Harcourt) linią kolejową. Po drugiej wojnie światowej wyrobiska kopalniane przekształciły się w szmaragdowe jeziora. Ale Jos rozwijało się nadal jako ośrodek o walorach klimatycznych, stając się swego rodzaju kurortem dla administracji kolonialnej. Gdy przybyłem tam po raz pierwszy w roku 1977, istniało wiele przyczółków świata białych ludzi: hotele Hill Station i Plateau, amerykańska Hillcrest School, Bukuru Scottish Country Club, Rayfield Golf Club, Plateau Tennis Club, no i University of Jos. Wszędzie tam, do końca lat osiemdziesiątych ubiegłego stulecia można było spotkać sporą liczbę Europejczyków, a także przybyszów z Azji Południowej. W 2009 roku nie spotkaliśmy z żoną nikogo z tych regionów świata. A więc może jednak stanowiliśmy niegdyś jakiś element stabilizacyjny, a nie byliśmy tylko postkolonistami zażywającymi rozkoszy życia w sercu Afryki.

Po dwóch dniach emocji związanych z powrotem i utratą, czas wracać do Abudży. Jeszcze rzut oka na Sherie Hills, górujące nad miastem ostańce skalne, na to miejsce weekendowych wycieczek ekspatów i spotkań ze stadami krów Fulanich – tam również unikatowa przyroda została zaśmiecona jakimiś fabryczkami żwiru i cementu. To przykre, ale trzeba jechać dalej.

W drodze powrotnej Isa będzie chciał zawitać do rodzinnego Keffi. No ale nie można przyjechać do domu z pustymi rękami. Umawiamy się, że w ramach wynagrodzenia zrobimy dla Isy zakupy. Przede wszystkim pięćdziesięciokilogramowy worek ryżu i warzywa – to, co najlepsze i najtańsze w Jos.

Wracamy z Jos bez większych przygód. Jedziemy przez ogród Afryki Zachodniej – w każdym razie ten obszar ma taki potencjał. Na stokach wzgórz Plateau i w kotlinach panują doskonale warunki klimatyczne i glebowe dla wszystkiego, co rośnie: od jabłek po grapefruity i banany; od ziemniaków po *yam*; możliwa jest nawet uprawa winnej latorośli, jak zapewnia mnie Nduk. Bardzo opląca się uprawa imbiru. Żeby tylko chciało się chcieć; żeby istniały odpowiednie warunki do kredytowania, inwestycji i zawiązywania umów eksportu...

Na razie, gdy zatrzymujemy się, aby coś kupić na przydrożnym targowisku, natychmiast otacza nas tłum handlarzy: kobiet z warzywami i owocami w pojemnikach noszonych na głowach i małych dziewczynek terminujących u matek. Biją się o dostęp do okna samochodu, narzucają się ze swymi towarami, umieszczają je nieproszone wewnątrz pojazdu. Isa po prostu przegania je, krzycząc w hausa.

Do Keffi (które można porównać z Żyrardowem pod Warszawą) dojeżdżamy po południu. Do miejsca zamieszkania Isy docieramy, przedzierając się przez gmatwaninę nieutwardzanych uliczek, pokrytych kałużami z obfitych deszczów pory mokrej. Okrągłe, kryte słomą domki z laterytu, które stanowią tradycyjną zabudowę na wsiach, zostały zastąpione w miastach przez budynki utworzone z surowych, nietynkowanych bloków betonowych, kleconych byle jak, byle taniej. Na miejscu otacza nas chmara dzieci, może około trzydziestu. Większość w wieku od pięciu do dziesięciu lat, bardzo podekscytowanych naszym przybyciem, zwłaszcza zaś widokiem białych; to dla większości pierwszy kontakt z *bature*. Na buziach maluje się cała gama emocji opisywanych przez psychologów: ciekawość, zaskoczenie, obawa, ale przede wszystkim niezwykle silne pobudzenie: witają nas okrzyki, tańce, próby zwrócenia na siebie uwagi. Dzieci młodsze to niemowlęta przy piersi lub na plecach matek; dzieci starsze – to właśnie te matki, w wieku piętnastu lat wzwyż. One również są zainteresowane, ale zachowują się w sposób bardziej stateczny; hidżaby lub nihaby dodają im powagi, tak że – przypominają nieco dziewczęta z nowicjatu [FOT.: wklejka, s. II – dół].

Wśród witających nas dzieciaków są również dzieci Isy, ale nie sposób rozróżnić je po zachowaniu. Wszyscy tu są spokrewnieni. Isa ma dwie żony, każdą w innej miejscowości. W Keffi jest ta ważniejsza, tytułowana jako *senior wife*.

Jesteśmy zaproszeni do wnętrza domku. Wchodzimy do izby z niskim stropem i skąpym oświetleniem. To sypialnia, ale jakby bardziej na pokaz, niż nosząca ślady codziennego użytkowania. Niegdyś widywałem podobne na wsiach, z nieodłącznym jelonkiem nad ruczajem i obrazami świętych. Tu obrazów oczywiście nie ma, ale są makatki i kobierce.

Mam wrażenie, że najważniejszym momentem naszej wizyty było dostarczenie worka ryżu. To solidna porcja pokarmu. Starczy na długo.

Pod wieczór wyruszamy do Abudży. Isa odwozi nas żywych i całych do stolicy. Wraca on do pracy w firmie Yakubu, gdzie jest zatrudniony jako szofer. Do rodziny dojeżdża na weekendy i to nie na każdy. Jego rolą jest do-

starczanie żonie i dzieciom pożywienia. A ma przecież również drugą żonę, która też ma swoje wymagania.